

PROMIEN



PISMO MŁODZIEŻY GIMNAZJALNEJ

NR. 8 MAJ-CZERWIEC 1937 ROK XII

— Silniejszy jestem, cięższą podajcie mi zbroję! —

PROMIEN

Miesięcznik Młodzieży Gimnazjum Im. I. Marszałka Polski
J. Piłsudskiego w Ostrowie (Wlkp.)

Kierow. wydawnictwa — Redaktor odpowiedzialny — Redaktor naczelny
Ożegowski P. Prof. dr. J. Jachimek Feliks Pałys

Garść wspomnień z wielkich dni.

(Dokończenie)

Ostatecznie wyzwolenie Ostrowa, a za tym i południowej wielkopolski — widziane nie przez pryzmat urzędowej historiografii, opartej na martwych dokumentach, lecz okiem uczestnika tych wypadków — rzuca jaskrawe światło na dwa biegunowo przeciwległe zjawiska: z jednej strony fatalne, niezdecydowanie ówczesnej Rady Ludowej — a z drugiej nieokielzana żądza walki u młodych.

Niezwykły „wódz”.

Należał do nich i „wódz”, Modrzejowski. Pragnął on — jeszcze w pierwszych dniach rewolucji (później znikł z horyzontu) — jak mówiono — nic mniej nic więcej tylko — sprowokować wojnę z Niemcami. Gdy Poznań nakazał rozwiązanie naszego wojska, wzgl. wycofanie na teren Kongresówki (było to, jak się okazało, instrukcje z POW.) — Modrzejowski chciał się wycofać — w tyralierze. Doszło do konfliktu z Radą Ludową, która kazała „wodza” aresztować. Nie było jednak pewne, czy żołnierze raczej nie zaaresztują... Rady, Modrzejowski wyjechał do Kalisza i w ciągu godziny wrócił — z nominacją na „wodza” wojsk wielkopolskich, podpisaną przez samego komendanta Piłsudskiego (który był w Warszawie!).

Ostatecznie jednak znikł z horyzontu ten junacki „wódz” który sobie jednak potrafił zdobyć przywiązanie żołnierzy.

Poczęli się powoli pojawiać oficerowie Polacy z armii pruskiej, porucznicy Kerski, Komorowski, Wawrzyniak, Sikorski, Łoży i inni.

Porucznik „z woli” narodu.

Trudno też pominąć jeden pyszny epizod. Otóż jeden z najczynniejszych i najbardziej zresztą zasłużonych działaczy przewrotu, który w armii niemieckiej (ze względów politycznych) — nie zyskał nawet stopnia „gefreitera” (starszego żołnierza), nagle wystąpił jako adiutant wodza w szarży podporucznika.

Razu pewnego jakiś wiarus na warcie nie chciał zsalutować pana adiutanta... a na zapytanie, odpowiedział również pytaniem:

— Kto pana zrobił podporucznikiem?

— Naród mnie zrobił — brzmiała odpowiedź... Później jednak ów adiutant został rzeczywistym oficerem.

Dziwny letarg.

Nadeszły wreszcie owo pamiętne, ostatnie dni grudnia 1918 i ostatnie niewoli zarazem.

— W Poznaniu wybuchło powstanie! Jak iskra elektryczna pobiegła ta wieść przez dziwnie uśpione miasto.

— Gniezno już wolne!

Lecz Ostrów spał. Rada Ludowa nie dawała oczekiwanego znaku... 30 grudnia ludzie okolicy sami zeszli się do miasta. Ulice były pełne mężczyzn, po których znać było, że żołnierze frontowi. Garnizon trzymał się lekliwie w koszarach.

Lecz znaku nie dano. Ludzie ze wsi wrócili do swych domów...

Nastął pamiętny Sylwester 1918 r. Dzień był drzysty i ponury. Po pustych, jakby wymarłych ulicach, dudniły znów buty żołnierskie: garnizon ośmielił się i wysyłał znów patrole. Podobno karabiny maszynowe stały w pogotowiu.

Ulica działa.

Cisza grobowa trwała do południa. Może około godziny 2 po południu na Rynku, przy hotelu Klopscha zauważyłem grupę, kilkunastu najwyżej osób, rozprowadzającym w silnym podnieceniu:

— My byliśmy pierwsi, a teraz inni nas wyprzedzili...

— Niemcy wszystko zabiorą...

— A może nas pozostawią pod Niemcem...

I nagle ktoś rzucił hasło: jak Rada Ludowa milczy, to my uderzmy na alarm...

I ruszyli w stronę kościoła, by uderzyć w dzwony...

Słyszając to, poszedłem do radzącego w „Grandce” (młodzież już uległa manii „radzenia”) „Komitetu Młodzieży.”

— Wy tu radzicie, a ulica działa. — Tymi słowy prze-rwałem obrady. Pospieszylismy wszyscy do Domu Katolic-kiego. Przed Bankiem Kupieckim stał samochód. Przyjecha-li nim oficerowie ze Szczypiorna.

Odbył się teraz wiec na małej sali Domu Katolickiego. Po burzliwych przemówieniach (mimo uspokajających wystą-pień oficerów) postanowiono zarządzać od Rady, by — pod grozą rozpędzenia — niezwłocznie wysłała do Niemców ul-timatum... Jeśli się nie poddadzą — będziemy szturmować koszary... Tak, jak jesteśmy, garstka może 100 ludzi bez bro-ni — na silny garnizon. Chodziło o każdą minutę, gdyż chcieliśmy zatrzymać pociąg z amunicją, którą Niemcy wy-wozili. Nie kwapiono się nawet, by posłać po wozy z bro-nią, które podobnie stały na Krępie.

Rada Ludowa zdobyła się pod taką presją na krok stanowczy.

Ultimatum zostało doręczone...

Nieprawdopodobna kapitulacja garnizonu.

Nastaly chwile dręczącego oczekiwania. Aż wreszcie wybuchła wielka wieść:

Niemcy złożyli broń...

Wielki garnizon poddał się garstce bezronnych, ale zdecydowanych na wszystko szaleńców.

Niejednemu z młodych prawie żal było... Toć dusze tak rwały się do walki, do bohaterskich czynów, godnych dziadów, pradziadów... A oni nam zepsuli tę przyjemność...

Wiec zamienił się nagle w oddziały wojskowe, które równym krokiem pomaszerowały zająć koszary, pocztę, dworzec...

Pociąg z amunicją odjechał już — ale do — Jarocina gdzie go zabrali nasi kolejarze.

Gdy żołnierze nasi wchodzili do koszar, Niemcy obra-cali się w łózkach.

„Im Spinde steht die Knarre, ihr könnt sie euch holen” (W szafie stoi karabin możecie go sobie zabrać.) To był żoł-nierz, który parę miesięcy wcześniej był ostrachem Europy, niezwyčajnym bohaterem niezliczonych bitew...

A Niemcy cywile urządzali sobie tymczasem ...„Silve-

sterabend," który o 12 w nocy rozwiązała nieznana im jeszcze polska władza... wysyłając dotychczasowych panów miasta pod pierzynę...

Nazajutrz obudził się Ostrów w nowym roku w powodzi sztandarów biało-czerwonych. Chmurny był dzień... ale jasno i pogodnie było w duszach naszych... Wschodził świt wolności...

Dr. Andrzes Niesiołowska.

Krótki zarys historyczny I. Batalionu Pogranicznego w Szczypiornie.

Podstawową komórką organizacyjną byłego I. Batalionu Pogranicznego (Poznańskiego) w Szczypiornie byli żołnierze Polacy, którzy w chwili wybuchu rewolucji niemieckiej dnia 10. XI. 1918 r. sformowali w Ostrowie Wlkp. pierwszą regularną wielkopolską formację wojskową pod nazwą I. Pułk Piechoty w Ostrowie. Istnienie tej jawniej formacji polskiej nie było w ówczesnym położeniu politycznym zaboru pruskiego możliwe. Po kilkudniowym życiu nastąpiła przeto stopniowa likwidacja 1 pułku piechoty w Ostrowie. Część żołnierzy przeszła z bronią w rękę przez zieloną granicę, oddając się do dyspozycji polskim władzom wojskowym w Kaliszu. Posiadaną zaś przez 1 pułk ostrowski broń i ekwipunek przewożono, pod rozmaitymi pozorami, przez kordon do Kalisza, by w ten sposób wspomóc młodą, do czynu zrywającą się armię polską. •

Prócz części ochotników z 1. Pułku Piechoty w Ostrowie znaleźli się niebawem w Kaliszu i inni Ostrowiacy, których porwała chęć natychmiastowego oddania się służbie armii Polskiej. Bardzo przychylnie przez władze kaliskie przyjęci Poznańczycy utworzyli osobną formację, w której podstawy organizacyjne dał rozkaz Sztabu Generalnego nr. 41 z dnia 4. XII. 1918 r. Na wynik ten złożyło się współdziałanie całego szeregu czynników, zarówno Polskiej Organizacji Wojskowej, jak i Dowództwo Okręgu Wojskowego Kalisz, Sztabu Generalnego w Warszawie i Powiatowej Rady Ludowej w Ostrowie, wreszcie szerokich warstw ludności powiatu ostrowskiego bez różnicy stanów i przekonań politycznych.

Pierwsi żołnierze batalionu stacjonowali w Kaliszu po-

czątkowo w „Domu Popów” przy ulicy Niecałej 1, później w t. zw. „Koszarach Łódzkich” przy Łódzkiej Szosie nr. 9, dnia na dzień rosnąca siła formacji, wyładowała się z początkiem grudnia z sekcji przeciwko Szczypiornu, ostatnie na ziemiach b. Kongresówki placówce niemieckiej. Pod naciskiem oddziału poznańskiego opuścili Niemcy dnia 2. XII. 18 r. Szczypiorno. Zwycięzcy zaś zakwaterowali się w ledwo przez wroga opuszczonych koszarach, dla Armii Polskiej pozostawili Niemcy zapasy: około 400 wagonów owsa, składnicę węgla, bogato w ekwipunek zaopatrzony obóz jeńców wraz z nowoczesnie urządzoną elektrownią.

Po zajęciu Szczypiorna rozpoczął się dla Baonu okres największego rozwoju. Równoległe z przeszkoleniem żołnierzy szła praca werbunkowa na terenie Wielkopolski, która koncentrowała się w Ostrowskiej Powiatowej Radzie Ludowej. Opinia Poznańskiej Naczelnej Rady Ludowej spowodowała równocześnie, że dla uniknięcia ewentualnych przedwczesnych konfliktów politycznych, formacja przybrała około 7. XII. 1918 r. konspiracyjną nazwę: „1. Batalion Pograniczny w Szczypiornie.”

Pod koniec grudnia 1918 roku w chwili zaostrzenia się stosunków w Wielkopolsce, Baon liczył dwie kompanie i kompanię karabinów maszynowych. W południe dnia 27. XII. 1918 r. na skutek prowokacji niemieckiej Baon przeszedł chrzest ogniowy pod wsią Boczków, przy czym poległ szeregowiec śp. Jan Merta, a ciężko ranny został szeregowiec Czesław Radajewski. W nocy z 29 na 30. XII. 1918 r. Baon przekroczył granicę, a rozbroiwszy załogę niemiecką zajął Skalmierzyce. Dla osłony Skalmierzyc przed możliwością napadu, dowództwo batalionu wysłało kompanię karabinów maszynowych do Śliwnik, gdzie KKM., po rozbrojeniu Niemców zajmuje Śliwniki.

Sztab Batalionu brał w dniu 31. XII. 1918 r. udział w oswobodzeniu Ostrowa Wlkp. Czyn ten był zaczątkiem szerokiej akcji wyzwolenia południowej połaci Wielkopolski, którą wsparł przysłany przez Sztab Generalny z Warszawy pociąg pancerny nr. 11. „Poznańczyk” — obsadzony przez kompanię karabinów maszynowych 1. Batalionu Pogranicznego (Poznańskiego) w Szczypiornie. Z łona Sztabu Baonu wyszła inicjatywa wzniesienia powstania w powiecie krotoszyńskim, przez udany nabieg na Krotoszyn, w dniu 1. stycznia 1919 r. Akcję tę przeprowadził pociąg pancerny nr. 11. „Poznańczyk” z załogą kompanii karabinów maszynowych z Szczypiorna i oddziały powstańcze z Pleszewa i Ostrowa.

W dniu 3 stycznia 1919 r., Dowództwo Baonu wysyła na pomoc powstańcom i osłonę Krotoszyna do Zdun 1. kompanię i 1. pluton karabinów maszynowych 1. Baonu Pogranicznego w Szczypiornie.

Sztab Baonu ujął również z początkiem stycznia 1919 r. dowództwo nad ruchem zbrojnym w odolanowskim i ostrowskim.

Formacje liniowe Baonu były podstawą organizacyjną Ostrowskiego Okręgu Wojskowego, którego Dowództwo przejął Sztab Baonu. Część podoficerów i szeregowych przeszła do Pułku Ziemi Kaliskiej (późniejszego 29 pułku Strzelców Kaniowskich) w charakterze instruktorów. część ruszyła pod Lwów, by i tam, na dalekich kresach wschodnich, wykuwać dawne granice Rzeczypospolitej. Pozostała w Szczypiornie reszta formacji, zasilana napływem rekrutów z wyzwolonych południowych powiatów Księstwa, była kadra Ostrowskiego Okręgu Wojskowego, poczym w marcu 1919 r. przeszła do Pleszewa, jako Baon zapasowy 8 Pułku Strzelców Wielkopolskich. (obecnie 62 pp.)

Szczypiorniacy walczyli w powstaniu pod Zdunami, Ligotą, Kobyłgórą, Rogaszycami, Przynowem i Turzem. Obficie ziemię Wielkopolską zrosili Ci, którzy w listopadzie i w grudniu 1918 r. tuż po odbyciu czteroletniej twardej służby frontowej w armii zaborczej, rzucali domy rodzinne, by na wolnej już Ziemi Kaliskiej tworzyć bratnie koło żołnierskie, którego celem ideowym było wyzwolenie zaboru pruskiego.

Fora z greką!

Wszystkim „cierpiętnikom” greki, ale w szczególności moim sąsiadom z prawej: Tajokowi, Heniusiowi, Antkowi i Bolkowi, poświęcam (na temat do kpis)

Autor

Tak już jest, że dzisiejszy człowiek bardziej niż kiedy indziej wymaga, aby każda jego czynność przynosiła wyraźny pożytek, objawiający się w postaci jak najwięcej namacalnej. Dlatego człowiek taki domaga się, by również

i nauka dawała możność stworzenia nowych maszyn i udoskonaleń technicznych i, by, co najważniejsze, dała prawo do lepszej pensji.

Ażeby więc zadość uczynić nakazom nowoczesnego życia, usunięto ze szkoły grekę. Ci, którzy to uczynili, musieli wyjść z tego założenia, że czas poświęcony grece, ginie bezpowrotnie, nie dając żadnej korzyści uczącemu się. I rzeczywiście spytajmy się tych, którzy zdali maturę, n. p. osiem lat temu. Taki gość, tyle ci tylko powie, że kiedyś to biegle wymienił wszystkie aorysty od *trepo*, dziś zaś z trudnością odmienia *paydeu*. Ba, nawet o ile wogóle pamięta, nie przetłumaczy inwokacji „Iliady” lub „Odyssei.”

Pytaj też, czy przydała się mu w życiu greka? Dowiesz się wówczas, że nie, gdyż jest inżynierem, prawnikiem, urzędnikiem, lub gospodarzem.

I to jest ta „wielka korzyść” z nauki greki. Kiedy jednak tak już romawiamy o nauce, spytajmy się tego maturzysty o inne przedmioty. Cóż się dowiemy? To, że najlepiej pamięta tylko te, które łączą się bezpośrednio z jego zawodem. Będąc więc prawnikiem, zna świetnie historię, ale gdy chodzi o twierdzenie Pitagorasa, wówczas robi miłą zakłopotano-lekceważącą. Gdy zaś jest matematykiem, często myli Krasieńskiego z Krasickim.

I cóż znowu za wniossek, z tej dalszej rozmowy? Chyba taki, że człowiek zmarnował najmniej 3 lata na naukę przedmiotów, z których dziś nie wiele pamięta. Do pisania zresztą protokołów nie potrzeba wiedzieć, co to są passaty, ani też do zbudowania motoru nie musimy wiedzieć, w którym roku powstały „Dziady” Mickiewicza.

A jednak, od razu czujemy, że tych lat nie możemy uznać za stracone. Coś uporczywie chodzi nam po głowie, że przecież te 8 lat wywarły wpływ, mimo wszystko ogromny. Wystarczy bowiem, że gdy człowiek z maturą zmuszony zostanie do jakiejś pracy, nie z jego dziedziny, wówczas gdzieś z głębi mózgu, wydobywają się i powracają wiadomości kiedyś nabyte. Także rozmowa toczy się łatwiej z człowiekiem wykształconym. Podobnie, wśród nowych warunków pracy prędzej da sobie radę rzekomy „fajtlapa” inteligent, niż człowiek z barami jak piec, ale bez wykształcenia.

Zastanawiając się więc znów nad powyższymi rzeczami, musimy przyznać, że nie wiele wprawdzie nauki gimnazjalnej daje nam korzyść, którą moglibyśmy w rękę zła-

pać, więcej natomiast zyskujemy, jeśli chodzi o ukształtowanie duszy.

Nauka bowiem umysł nasz ociosała, wygładziła i uczyniła sprężystym.

Jeśli więc na historię, matematykę, polskie lub fizykę patrzymy w ten sposób, musimy podobnie oceniać i grekę. Ona bowiem nie daje zupełnie korzyści „rękochwytnej,” natomiast jest jednym z kamieni szlifujących naszą duszę. Gdy w hucie szklanej rzną wazon, to mogą wyciąć go przy pomocy jednego kamienia szlifierskiego. Jednak im tych kamieni będzie więcej, tym piękniejszy, doskonalszy i cenniejszy stanie się ów wazon. Toż samo z naszym umysłem: Bez greki obejdzie się on zupełnie, ale wyglądać będzie jak flaszka od piwa, z greką natomiast przybierze postać czary kryształowej.

Dlaczego jednak greka posiada te własności uszlachetniające. (Zrozumiałe, że odpowiedź na to pytanie będzie opierała się na znajomości greki w zakresie kl. VII. Jest to mało, ale zawsze coś.)

Pewno, gdy rozpoczęliśmy grekę w piątej klasie, mozolne sylabizowanie: *ho kalos anthropos* nie mogło być żadną miarą owym szlifowaniem kryształu duszy (jeśli już tak szumnie mówimy.) Właściwe korzyści okazały się dopiero, przy czytaniu autorów. A były one takie:

1° Zadowolenie ogromne kiedy namozoliwszy się nad znaczeniem, można było po raz pierwszy, nieudolnie przybrać myśl grecką w polskie słowa. Ileż to ciekawych uwag nasunęło się, gdybyśmy starali się wniknąć w ducha zdania i przetłumaczyć je tak, by i po polsku nie zatraciło swego prawdziwego charakteru.

2° Nie tylko, jednak to. Co chwilę, szczególnie u Homera, napotykalimy na nazwiska, nazwy, podania, których dotychczas tylko ułamki były nam znane. Przez codzienne jednak obijanie się o nasze uszy, zmusiły nas do zastanowienia się, szukania dalszego, a wytwarzającego w nas przekonanie, że przecież między życiem ówczesnym a dzisiejszym zachodzi silny związek.

Obecnie czytaliśmy Platona. Z tej przyczyny zrozumieliśmy, że doprawdy Grecy poruszali i rozstrząsali zagadnienia i do dziś ciekawe i ważne. Poznając zaś historię filozofii greckiej, musieliśmy, z konieczności, przyznać, że gdyby nie oni, to kto wie na jakim stopniu rozwoju znalazłyby się nasze nauki. Jeśliby Hippoterates nie zaczął poszukiwać w kierunku najodpowiedniejszego sposobu badania i stawia-

nia diagnozy, to może do dziś ból zębów, leczylibyśmy spożywaniem popiołu nietoperza, a chorym na nerki, kazalibyśmy oglądać lot ptaków.

3^o Następna znów zdobycz polegała na zrozumieniu znaczenia całego szeregu wyrazów. Dotychczas, albo ich wcale nie rozumieliśmy, albo posługując się nim, nie zdawaliśmy sobie sprawy, że w polskim języku znajdziemy zupełnie dobre i równotrześciwie odpowiedniki.

Rozświeciło się nam dlaczego „nostalgia” może oznaczać jedynie ból z powodu utracenia ojczyzny, a nie jakiejś Stefci, Kazi, czy innej Maruszki. Inni znówu zrozumieli, że krytykować, to nie bynajmniej potępiać i ganić, lecz tylko: osądzać. Mogli się także niektórzy, coprawda, rozczarować, dowiedziawszy się, że daktyloskopia, to nie oglądanie daktyli, ale odcisków palców.

I takich słów możnaby przytaczać, aż do znudzenia.

4^o Inną znów zaletą greki, to, że nadaje ona giętkości naszemu językowi. Jeśli bowiem chcemy bez bujania przetłumaczyć zdanie, wiele musimy wówczas przeszukać słów, by tłumaczenie było rzeczywiście dobre. Także ucząc się słówek greckich, wzbogacamy swój słownik polski. Nie jest to tak dziwne, jeśli zważymy, że w mowie potocznej często z lenistwa lub z braku umiejętności, kilka podobnych zjawisk określamy jednakowym słowem. Tymczasem greka zmusza nas, byśmy zastanowili się, czy np. *epojeze* należy tłumaczyć: zrobił, lub może: uczynił, albo też: działał. Każde z tych słów oznacza prawie to samo, ale każde inne nieco posiada zabarwienie.

Nauczyliśmy się również myśleć i ściśle myśli swe wyrażać. Budowa zdań naszych stała się bardziej jaśniejszą, rzeczową i treściwą. Zrozumieliśmy bowiem, jak należy w najmniejszej ilości słów, zamykać najwięcej treści.

Mógłby ktoś po tych wszystkich wywodach powiedzieć, że jeśli chodzi o poznanie kultury greckiej, to mały wystarczającą ilość dzieł w językach nowożytnych, że państwo się nad greką jest zbyteczne. Gdy natomiast sprawa o wyrobienie języka, to można tego dokonać przy pomocy języków współczesnych.

Na pierwszy zarzut można odpowiedzieć pytaniem: Czy oglądanie filmu najlepszego, najbardziej dźwiękowego, plastycznego i barwnego, a przedstawiającego polowanie na lwy, jest to to samo, co osobisty nasz udział w owym polowaniu? Także poznawanie kultury greckiej z „drugiej ręki” to to samo, co owo oglądanie filmu. Inna też rzecz, że

najlepsze nawet tłumaczenie, nie dając wiernego odbicia oryginału, starzeje się tak, że np. tłumaczenie „Odyssei” z połowy XIX w. śmieszy nas swym językiem.

Teraz zarzut drugi. Otóż wiemy, że dużo języków jest mocno związanych z greką. Dlatego nigdy tak dobrze nie poznamy nowożytnego języka, jak wówczas, gdy znamy już starożytny.

Na zakończenie to jeszcze powiem, że wiele zależy od naszego podejścia do greki. Nie można bowiem spodziewać się wielkich owoców z tej pracy, jeśli już od początku greka będzie „pańszczyzną odwaloną,” jak wiele innych przedmiotów, przy pomocy „bryków” lub „jezuitów.” Tak! sposób to wręcz przeciwny, wypacza do gruntu umysł. O skutkach dodatnich greki możemy mówić tylko u tego, który wie, co to jest „nauka dla nauki.”

Inna znów rzecz, że wiele zależy od wykładowcy. Jeśli ten w grece upatruje cel, a nie środek, to doprawdy można wtedy osiwieć w czasie takich lekcyj, gdzie ważniejszym jest szybkie wytrajkotanie czasów od *erchomaj*, niż zrozumienie, co znaczy *symojsda*.

Z drugiej znów strony może być taki profesor, który sam „odwala” grekę, byleby przetłumaczyć należyta ilość wierszy i poza tym nic go nie obchodzi, co za myśli są ukryte w tłumaczonych zdaniach.

Cóż wy na to wszystko, cierpiętnicy?!

(Słowa greckie, z powodu braku odpowiednich czcionek, zmuszeni jesteśmy złożyć literami łacińskimi.)

Grzela

Wdzięczność jest piękna i wonna
jak kwiat, ale wdzięczność prędzej
zwiędnie i opadnie jak kwiat.

Jan Wiktor

Co myślę o klęsce bezrobocia?

Pod względem ekonomicznym można podzielić społeczeństwo na trzy klasy. Mamy więc zamożnych, nawet bardzo zamożnych, (z czym w parze idzie zwykle wysoki poziom oświaty), warstwę średnio usytuowaną i ludność biedną. Bardzo duża część tej ostatniej klasy to bezrobotni rekrutujący się zarówno z ludności robotniczej, wiejskiej jak i z inteligencji. W najbardziej opłakanym stanie znajduje się niewątpliwie ta ostatnia. Mimo bowiem, że wielu nie potrafi pisać i czytać, to brak im najniezbędniejszych rzeczy do życia potrzebnych, a więc mieszkania, ubrania, nawet chleba

Bezrobocie nie jest bynajmniej czymś nowym, ani wytworem ostatnich lat, istniało bowiem zawsze. Istniało już w starożytności, i wielkim miastom dotkliwie dawało się we znaki, np. w Rzymie, gdzie bezrobotne masy krzyczały „Panem etcircenses”, a rozdawnictwo zboża jednało popularność najwyższym urzędnikom. Istniało i w średniowieczu, tylko w bez porównania w mniejszym stopniu.

Ustawiczne bowiem wojny dawały zajęcie chciwym ludziom, a zagęszczenie ludności było bardzo słabe. Nie dało się jednak we znaki nigdy tak jak obecnie, gdy przybrało rozmiary klęski.

Jakież są więc przyczyny tego tak szeroko występującego zjawiska? Przyczyn, zdaniem moim, jest kilka. Główną, zdaje się ostatnia wojna (światowa). Zresztą i dawniejsze wojny, jak wiemy z historii, powodowały podobne, w nie-równie mniejszym jednak stopniu, przesilenia. Nigdy przecież nie było tylu państw zainteresowanych ani bał wojny nie dorównywał w wielkości wojnie ostatniej. Pochłonęła też wojna światowa ogromne kapitały i spowodowała wielkie spustoszenia na obszarach objętych operacjami wojennymi tak, że odbudowanie kosztowało wiele sił i kosztów, a trwało lata całe.

Drugą z przyczyn to niebywale zmechanizowanie pracy. Maszyna wyparła człowieka z wielu dziedzin pracy. Tam gdzie dawniej pracowało przy warsztatach kilkudziesięciu pracowników, obecnie do obsługi, maszyn wystarczy kilku.

Prócz tego, system masowej produkcji pozwolił zarzucać rynki fabrykatami, w ślad za czym przyszła nadprodukcja. Wtedy koncerny i kartele zmuszone były wiele fabryk zam-

knać, powiększając przez to zastępy bezrobotnych. Co gorsza, państwa bojąc się konkurencji towarów obcych i odpływu złota z kraju, ustanowiły cła niezmiernie utrudniające wywóz.

Poza tym społeczeństwo jest jeszcze „na dorobku” gdyż lata wojny, w czasie których wzrosły świadczenia na rzecz państwa, i powojenna dewaluacja, wyczerpały ludność, co w datnio zmniejszyło siłę kupna. Pośrednią przyczyną bezrobocia są także i niskie zarobki czy robotników, czy urzędników państwowych (niższych).

Do powiększenia zastępów bezrobotnych przyczynia się wieś ziem zachodnich. Na wsi naszej jest już zbyt ciasno, by mogło się tam pomieścić nowe i liczniejsze pokolenie. Z braku więc miejsca wielka część szuka pracy w miastach, gdzie szukają jej bezkutecznie bezrobotni tamtejsi.

Tymczasem „Kresy” nasze rzadko są jeszcze zaludnione i z pewnością zdołają nadmiar ludności, zwłaszcza wiejskiej, pomieścić i wyżywić. Z roku na rok zwiększa się także liczba bezrobotnych inteligentów, ludzi młodych, pełnych sił i zapału, odczuwających dotkliwie głód pracy, a nie mających prawie widoków na znalezienie jej.

Dużo można by zrobić na polu handlu. Handel nasz przecież znajduje się w przygniatającej większości, w rękach Żydów. Tu ma więc pole do popisu żywiol polski.

Nie lepiej rzecz ma się i z przemysłem naszym.

Większość fabryk znajduje się w rękach obcych, czy to żydowskich, jak fabryki włókiennicze w Łodzi lub w Bielsku, czy w rękach niemieckich lub francuskich, jak kopalnie i huty na Śląsku.

Tymczasem czekają bezrobotni pod starostwami i pośrednictwami pracy na wolne miejsca. Żle jednak wpływa na nich to beznadziejne oczekiwanie na lepsze jutro. Głód i zimno dają im się we znaki. W sercach rośnie gorycz i nienawiść do wszystkich i wszystkiego, gdy patrzą na jasno oświetlone okna i muzykę gwarynych ciągle kawiarni. U siebie rzadko ogień widzą, a nierzadko i choroby.

Podatnym są gruntem dla wszelkich podszeptów.

Na taki też grunt padają słowa agitatora komunisty „Precz z kapitalizmem”, „Precz z faszyzmem”, nawet „Precz z Bogiem”.

I podburzony i zaślepiony tłum powtarza te słowa; nie ma przecież nic do stracenia.

Nie dziw więc, że powstają, krwawo tłumione, rozruchy w całym kraju.

Moskwa nie śpi. Wsącza powoli jad między tłumy

bezrobotnych i przygotowuje grunt pod wszechświatową rewolucję. Niebezpieczeństwo jest więc groźne; w pierwszym rządzie zagraża państwu i kulturze.

Najlepszy przykład mamy w Hiszpanii, gdzie dorobek kulturalny wieków całych zniszczyły zdziczałe tłumy w ciągu kilku tygodni.

Aby więc do tego nie dopuścić, w pierwszym rządzie musi czuwać nad tym państwo. Ono zwłaszcza powołane jest do zaradzenia złu przez zatrudnienie, jak największej ilości bezrobotnych.

Państwo też na największą skalę to przeprowadza, łożąc, z kapitałów pożyczki inwestycyjnej, na wielkie roboty publiczne. Tysiące też ludzi znajduje zatrudnienie przy budowie dróg, czy regulacji rzek. Mały jednak procent ogólnej liczby znajduje pracę.

Dużo robią także na tym polu zarządy miejskie, zatrudniając wielu przy budowie nowych ulic. Duża część pobiera zasiłki pieniężne lub w naturze z miejscowych „Caritasów”. Wielu wreszcie pozostawionych jest samym sobie, ponieważ zapomniano o nich, sami zaś wstydzą się przypominać. Chcąc więc żyć chwytają się czego mogą.

Z bezrobociem i nędzą w parze idzie wzrost analfabetyzmu. Rodzice bowiem nie mając na chleb, nie są w stanie kupić dziecku książkę czy zeszyt. Często także zdarza się, że nie posyłają dzieci do szkoły z braku dobrego a choćby najskromniejszego ubrania.

Następstwem bezrobocia jest także upadek drobnych przedsiębiorstw handlowych, których byt zależy tylko od dobrych czy złych zarobków tej najuboższej masy. Wielka liczba bezrobotnych wpływa w ogóle na całe społeczeństwo ujemnie, gdyż suma podatków płaconych państwu nie tylko że nie zmniejsza się, ba nawet powiększa, a podatników ubywa.

Co więcej, pozostali muszą nie tylko płacić podatki za siebie i za tych, którzy stracili zdolność płacenia, jak np. zbankrutowane przedsiębiorstwa, lecz muszą ponosić duże ciężary na rzecz bezrobotnych.

Problem zmniejszenia bezrobocia, jak widać, trudny jest do rozwiązania, mimo to jednak rozwiązany, jak sądzę, będzie. Kryzys bowiem obecny, wnioskując z gazet, ma charakter przejściowy, a zmiana na lepsze już się zaczęła.

H. Konieczny.

Szlak mickiewiczowski

(Dokończenie).

Nazajutrz, z brzaskiem dnia, zrywamy się ze siana, czyścimy się i myjemy. Moja noga już w porządku i panuje wesoły nastrój. Jeden pyta drugiego, czy zbudziła go Zosia, jak Tadeusza. Tutaj małe wyjaśnienie! Nie wszyscy z czytelników wiedzą, że Czombrów ma być według jednego z krytyków dworkiem Sopliców opisywanym, przez Mickiewicza w „Panu Tadeuszu”. Niestety, prócz dworku, pięknego ogrodu i malowniczego położenia oraz stodoł, nie ma żadnego znaku charakterystycznego, któryby wskazywał, że to prawda. Inni krytycy uznają za Soplicowo wieś Soplicowo, która oddalona jest od Czombrowa o około 30 kilometrów. Tamta osada zdaje się być prawdziwym Soplicowem, tym więcej, że w pobliżu w Mirze wznosi się zamek (możliwe że to Horreszków), zbudowany w stylu gotyckim. Korzystając z wczesnej godziny, zwiedzamy piękny ogród i sad, podchodzimy na wzgórze, by obejrzeć domniemaną „świątynię dumania”, dwa stawy a raczej dwie sadzawki i mały strumień. Z ogrodu wychodzimy przed front dworku i robimy fotografie.

O pięknie jego świadczyć może fakt, że w dworku tym kręcono swego czasu sceny do filmu „Pan Tadeusz”, który oglądaliśmy na ekranach. Po pożegnaniu gościnnych gospodarzy ruszamy w drogę.

Przed nami drugi etap Czombrów-Nowogródek, wynoszący około 20 kilometrów. Skład uczestników zmniejsza się o trzech, gdyż ci ruszają dalej w bok do Tuchanowicz, miejsca zamieszkania ukochanej przez Mickiewicza Maryli Wereszczakówny. Żegnamy się z odchodzącymi i życzymy im szczęśliwej drogi.

Po wczorajszym deszczu niebo wypogodziło się i powietrze jest czyste i bezwietrzne. Trójkami maszerujemy w takt piosenek i przestrzeń maleje prędko. W końcu wyłania się położony na wzgórzu Nowogródek.

Trzykilometrową przestrzeń przebywamy w tempie forsownego marsza. Wchodzimy do miasta, gdzie dzisiaj odbywa się targ. Idąc chodnikami (jeśli można je tak nazwać), dochodzimy do rynku. Zgiełk i hałas oraz widok chałciarzy żydowskich, napęłnia nas odrazą. Sądziłyśmy, że to miasto, w którym Wieszczył został ochrzczony, mieszkał, którego Górę Zamkową opisał w pięknym poemacie „Grażyna”, będzie świeciło przykładem czystości i porządku całej krainie nowo-

gódzkiej a tymczasem! Przykro mówić na ten temat. Ponieważ zbliża się pora obiadowa, udajemy się do jednej z dwóch chrześcijańskich jadalni, by zjeść obiad. Po południu zwiedzamy Górę Zamkową, Kopiec Mickiewicza, Tameę, Muzeum Mickiewiczowskie, Meczet Mahometański i inne ciekawostki. W odległości dwóch metrów od rynku wnosi się wzgórze z ruinami zamku Witolda. Mimowoli przy wejściu na górę nasuwają się wiersze z Grażyny

...Zamek na barkach nowogródzkiej góry
 Od miesięcznego brał pozłotę blasku;
 Po wałach z darni i po sinym piasku,
 Olbrzymim słupem łamał się cień bury
 Spadając w fosę, gdzie wśród wiecznych cieśni,
 Dyszała woda z pod zielonych pleśni...

Potężne, kilkumetrowej grubości mury, rozpadły się, nadgryzione przez ząb czasu. Sterczą tylko dwie olbrzymie baszty. Otwory na okna wąskie, przystosowane do obrony. Robimy fotografie pamiątkowe na tle ruin i oglądamy przez otwór w jednej z baszt przepiękny widok na okolicę. Szukamy za słowami Mickiewicza rzeczki:

„Jest od przykopów miejskich tak daleka,
 Jako niemieckiej broni grzmot doniesie,
 Mała, zaledwie znana komu rzeka,
 Wąskim korytem błądząca po lesie”...

Okazuje się, że i to prawda. Porównaj i w pamięci kilka fragmentów z „Grażyny” i dziwna rzecz, wszystko się zgadza. W murach zachowanych znajduje się sklepienie, gdzie znajdowały się drzwi (do pokojów księżnej). Wszystko to daje dowód, jak pieczołowicie poeta oddał na papierze w „Grażynie” cały czar Nowogródzkiej góry. Ktoś pokazuje nam domniemany grób Mendoga, również opisany w „Grażynie”. Oglądaliśmy całe ruiny z wielką starannością. Bije z nich powaga minionych wieków.

Schodzimy z góry i wspinamy się na kopiec Mickiewicza. Usypany został on ku czci Wieszcza przez ludność Nowogródka i okolicy w roku 1931. Jest to jakby miniaturowa kopca Kościuszki z Krakowa (naturalnie bez zabudowań). Na kopcu robimy pamiątkowe zdjęcia i próbujemy odcyfrować nazwiska wycięte na drewnianym ogrodzeniu. Fara nowogródzka jest skromnym kościołem i zwiedzamy ją tylko dlatego, że w jej wnętrzu został ochrzczony Adam Mickiewicz. Na ścianie wewnętrznej fary znajduje się płyta marmurowa wmurowana z okazji 75-lecia zgonu poety.

Krętymi uliczkami dostajemy się przed dom rodzinny Mickiewicza. Zwiedzamy muzeum pamiątek po Wieszczu,

wpisujemy się do księgi pamiątkowej i zapoznajemy się z organizacją Komitetu Mickiewiczowskiego, który postawił za cel bezpośredni na najbliższą przyszłość, wykupienie z rąk obcych domu rodzinnego Mickiewicza i założenia w nim muzeum, dotychczas bowiem zbiory przechowuje się w bocznej ubikacji. Kupujemy na miejscu widokówki z Nowogródka i robimy zdjęcia pamiątkowe przed domem.

Po wyjściu na ulicę następuje rozwiązanie wycieczki. Pożegnalny uścisk dłoni z pozostającymi i odchodzącymi dalej i jesteśmy już tylko grupą złożoną z czterech osób. Szukamy natarczywie meczetu małżumańskiego, gdyż dowiedzieliśmy się, że w Nowogródku zamieszkuje największa ilość Tatarów „czystej krwi”. W końcu udaje się nam odnaleźć meczet i mieszkający stróż, wysłał syna by nam pokazał wnętrze. Meczet nowogródzki zbudowany jest w ślicznym stylu z drzewa. Przed wejściem, przewodnik z uśmiechem poleca założyć czapki na głowę, gdyż u mahometan jest to we zwyczaju. Z młodzieńczym zapalem pokazuje nam przewodnik księgi z których „iman” (ksiądz) czyta modlitwy, odczytuje rozwieszone na ścianach wyjątki z Koronu i opisuje ceremoniał modlitewny podczas nabożeństwa.

Na podłodze rozłożone dywany, pod ścianami postumenty ze świecami do obrzędów religijnych a na prawo rodzaj tronu—kazalnicy, skąd „iman” przemawia do wiernych podczas uroczystości. Nasz przewodnik chętnie opowiada nam historię pobytu mieszkańców od czasów najazdu szwedzkiego po czasy dzisiejsze. Z przekazem i pewną rezerwą przyznaje się, że Koranu nikt z wiernych nie rozumie, gdyż tłumaczyć go umie tylko „iman” z Wilna. Oglądamy podzielone na części wnętrze. Tu dla mężczyzn, tam za zasłoną dla kobiet, u góry dla młodzieży męskiej i chóru oraz „mue-zina” (czyt. mezina).

Nabożeństwa odbywają się co sobotę w południe. Wychodzimy na zewnątrz. Na prawo za płotem kilkunastu chłopców „kuje” litery alfabetu arabskiego. Na prośbę naszą przewodnik pisze każdemu coś po arabsku na pamiątkę. Żegnamy serdecznie młodego i inteligentnego Tatara.

Ponieważ nadchodzi czas odjazdu z Nowogródka, udajemy się na dworzec kolejki wąskotorowej. Tu zjadamy podwieczorek raczej kolację i wsiadamy do pociągu, który wkrótce ruszy do Nowojelni.

Skończona wędrówka „szlakiem mickiewiczowskim”. Przed nami dalsze etapy: Wilno—Lwów—Kraków—Zakopane—Katowice—Częstochowa—Ostrów...

Owczarek Edmund.

Burza.

Ciemno...

Niebo czarne. — Nad strefą przyziemną

Szumny wicher, jak fala złowieszczą

Miota

Gromady liści, co głośno szeleszczą...

Zrazu cicho..

Lecz wkrótce zdaleka,

Niby tętent miarowy stu koni.

Niby złowieszczy morza ryk,

Które balwany goni —

Ogromny, a potężny, wszechwładny pan świata

Grom, toczący ściemniałe niebo z wichrem lata.

Uderzył, wspiął się, zwinął —

Znowu się zamierzył...

I z ręki jego złota wybiegła popręga,

Zawładnęła nad światem, co wierność przysięga,

Przeciela go zygzakiem i znikła w ciemności.

...Za chwilę jednak znowu we wszechwładnej złości

Pioruny, nieb obrońce i nieb straszne działa

Huknęły!.. Pętlic złotych znów ustały rotę.]

... A ta przeszła, uciekła i cisza nastąpiła...

Teraz lekki, powiewny zamik — deszcz tu rosi,

Płacze nad całym światem, gromów litość prosi.

Perły lez jego na łąki, na pola padają,

Kają się w wielkiej skrusze i pokorze kają...

Co raz więcej ich pada, co raz więcej płaczą,

Przejrzystą pokazując swą duszę prostaczą...】

Reising Ryszard kl. Ilb.

Wiedza i cnota są ozdobami człowieka, ale
wymagają oprawy, jak szkła okularów...

M. Sieroszewski

„Chrzest.”

Z opowiadania legionisty z Marocca
R. F., a pochodzącego z Ostrowa.

Tra - ta, tra - ta, tra - ta, tra - ta, ta, ta, ta, pada głos trąbki w głucho korytarze „postu.” Zrywam się z łóżka na równe nogi, bo wiem, że jest to pobudka ranna, która co dzień, o tej samej godzinie budzi nas ze snu. Spojrzałem na ogniasty żar wschodzącego słońca. Lecz po zobaczeniu płonącej luny na niebie, nasunęła mi się myśl, że dzień ten spędzimy w strasznym ogniu karabinowym.

— Po spożyciu śniadania dowiedziałem się, że zaraz udamy się do „postu” „El-Bardii.” Już teraz przeczuwałem, że sprawdzą się moje przypuszczenia. Nogi odmawiały mi posłuszeństwa do tej podróży. Trudno! Padł rozkaz, trzeba go wypełnić. A przecież umiemy się bić; pomyślałem sobie. Z Postu wyszliśmy weseli, z piosenką na ustach.

Po przejściu kilku kilometrów zatrzymał nas głos „ta-a-ko” spowodowany wystrzałem z fuzji arabskiej. Bez żadnej komendy, każdy rzucił się w tyralierę. Na czele oddziału maszerujący Luxemburczyk powalił się na ziemię, z przszytym ramieniem, z którego sączyła krew. Strzelaliśmy godzinę do niewidzialnego wroga. — Po tej strzelaninie myśleliśmy, że już niebezpieczeństwo minęło. Padł rozkaz. Ruszyliśmy w dalszą drogę, lecz po zrobieniu kilkudziesięciu kroków, znowu zostaliśmy powitani ogniem karabinowym; jeden z nas został zabity i jeden ranny. Przez dalsze 2 godziny zarzucaliśmy owe podejrzone miejsce pociskami. Tymczasem nastał zmrok. Pod opieką czujnej straży przespaliśmy spokojnie do rana. Nazajutrz powtórzyło się to samo. Komentant obawiał się dalszego marszu, gdyż mogliśmy wpaść w pułapkę. Po otrzymaniu rozkazu rozkwaterowaliśmy się na tym samym miejscu. Szczęśliwie wytrzymaliśmy do południa; w południe był obiad, do którego spotrzebowano ostatni zapas wody. Po spożyciu obiadu każdy rozglądał się za wodą, ponieważ kucharze przesolili grochówkę.

Najbliższe miejsce, w którym można było dostać wodę, znajdowało się w jednej oazie oddalonej od nas 15 kilometrów.

Powoli zbliżało się ku nam widmo śmierci. Pomyślałem sobie: „Albo zginąć od kuli arabskiej, albo umrzeć z pragnienia, które przynosi stokroć cięższą śmierć”. W półtora godziny po obiedzie, wyruszyła sekcja składająca się z 18 lu-

dzi z 3 mułami po wodę. Po przejściu jednego kilometra zostali zatrzymani przez nieprzyjaciela. Arabowie zastrzelili wtedy 4 legionistów. Na odgłos strzałów pobiegliśmy zagrożonym legionistom z pomocą. Skoro jednak przyszliśmy zostało tylko 5, którzy resztkami sił uciekali, pędząc przed sobą 2 muły.

Po tym zdarzeniu nikt nie umiał ustać na nogach. Pragnienie co raz bardziej dokuczało, a na dobitkę złego, panował upalny dzień, bo temp. w cieniu wynosiła około 45°C. Niektórzy chodzili od jednego do drugiego, szukając łyku wody. Wśród wieczornej ciszy, my Polacy, ostatnimi resztkami sił zanuciliśmy „Pod Twoją obronę.” I zdawało się nam, że melodia ta odbija się w wysokich górach Atlasu. Ale ta pieśń błagalna płynęła dalej, bo aż po Nil, Ocean przez Morze Śródziemne, aż do sinych fal Bałtyku i „Jasnej Góry.” Nagle, jak piorun z nieba, przerwał nam tę pieśń jeden Niemiec, który krzycząc biegł z karabinem w rękę w stronę Arabów. Po przebiegnięciu kilku kroków, przeszła mu pierś kula arabska i legł na gorącym piasku pustyni, zroszony krwią i tam zamknął oczy na wieki.

Po tym zdarzeniu dostaliśmy kolację, która składała się z mięsa konserwowego, chleba, a jako napój było wino, którego prawie nikt nie pił. Kilku chcąc ugasić pragnienie, wypilo od 4-5 garnków wina, lecz po godzinie jeszcze więcej dokuczało im pragnienie.

Każdy z myślą, że jutro nie ujrzy światła dziennego, kładł się na spoczynek. W tę cichą i ciemną noc każdy myślał tylko o nadchodzącej śmierci, jaka go czeka i o swoich rodzinnych stronach, a nawet o straconych towarzyszach w dzisiejszej walce. W tym smutnym nastroju jaki panował, tylko gwiazdy migwały wesoło w przestworzach, jakby wróżąc nam nową radosną niespodziankę. Wśród takich myśli spędziliśmy tę głuchą i ciemną noc.

Rano już nie słyszeliśmy tej pobudki, która codziennie budziła nas ze snu. Nikt nie wstawał z swego łoża czekając, śmierci. Jednak koło godziny 10 padł rozkaz, aby natychmiast przygotować się do wymarszu. Miała to być ostatnia próba, lecz i tym razem zostały udaremnione nasze zamiary. Nikt już nie zważał na strzelaninę tylko pisał się w górę by oko w oko spotkać się z nieprzyjacielem. Resztę naboju zużyliśmy w tej strzelaninie, a potem z bagnetem w rękę oczekiwaliśmy nieprzyjaciela. Pragnienie dało się we znaki, że nikt już nie umiał ustać na nogach. Dwóch kolegów nie

mogło znieść pragnienia i ostatnią kulą położyli kres swemu życiu.

Idąc za przykładem innych, zacząłem trawę obgryzać. Tak przesiedzieliśmy jeszcze z godzinę. Niektórzy modlili się inni, przeklinali Arabów, a w jednym z ostatnich namiotów znów jeden pozbawił się życia. Nagle wszyscy zerwali się z swego łoża, bo echo, odbijające się o szczyty gór, dało nam do zrozumienia, że samoloty nadjeżdżają. I w rzeczywistości za chwilę ujrzeliśmy 3 samoloty zdążające w naszą stronę. Nadchodziła pomoc. Lotnicy spostrzegli nas i zaczęli rzucać nam kawałki lodu, a jeden oczyszczał okolicę z nieprzyjaciela. Radość nie do opisania zapanowała między nami nie będę jej opisywał, tylko nadmienię, że niektórzy z szczęścia płakali. W 20 minut później w pełnym galopie na mułach ukazała się kompania „montre,” która utrzymuje łączność między „postami.”

Do wieczornego raportu stanęła nasza kompania zdzięsiatkowana, bo z 200 ludzi zostało nas 80. Nareszcie po trzech ciężkich dniach ruszyliśmy do celu naszej podróży, a mianowicie do postu „El-Bardii.”

Tak szczęśliwie, ale wśród cierpień, odbyłem swój „chrzest ogniowy.”

Marian Banaszak kl. Ib.

Plaża.

Słoneczna patoka złotą rozpieszcza plażę...
Malcy dom stawiają z piasku — ojcowie marzą —
W krąg śmiech barwnych kostiumów, w bronz
Na plażę *[spalone twarze.*
W miłosnym bezwładzie
Morze piersiami jędrnych fal się kładzie
I wciąż odpływa i wiecznie wraca stęsknione
Całować swą plażę — a morze jest słone!

Morze — to życie,
Które w rozkwicie
O plaży dzieciństwa tęskni minionej —

Józef Szczublewski

Uleczony kinoman

Galeria mych przyjaciół jest bardzo malownicza. Przed niedawnym czasem pisałem o smutnej tragedii pana Alojzego Bedulki.

Dzisiaj chciałbym napisać o zdarzeniu, które osobom więcej nerwowym zapewne rozedrże duszę. (Koszta zeszczenia jej będą musiały jednak ponieść same, ja bowiem zgóry zaznaczam, że na krawiectwie się nie znam).

Wypadek powyższy dotknął drugiego mojego przyjaciela Fidelisa Błękitnego.

Dla lepszego zrozumienia istoty tego nieszczęścia, przytoczę krótką charakterystykę pana Fidelisa.

Był on człowiekiem wzrostu niedużego, otyły, przysadzisty. Twarz czerwona, o zdrowych rumieńcach, świadczyła, że właściciel jej omija zdala szylidy z napisami dr. med. X. X. i wszelkie „chore kasy”. Nos jednak miał trochę zbyt czerwony, co sam tłumaczył, że matka jego była handlarką warzywa, więc nos ma podobny do rzodkiewki. Myśmy w dobroci ducha, w to wszystko wierzyli. Pan Fidelis był człowiekiem całkiem przeciętnym, to też charakterystyka zewnętrzna byłaby kompletna.

Wad nie miał żadnych, oprócz jednej. Oto był gorącym kinomanem.

Nie opuszczał żadnego programu.

Dlatego też w rozmowie z nim należało unikać tematów filmowych, pan Fidelis bowiem rozgadał się zawsze tak, że można było wyjść z pokoju, a ten nie zauważył tego, że gada do pustych ścian.

Wiedział zawsze dokładnie, kiedy jaka gwiazda wzejdzie, a która karierę swą skończy, niczym najlepszy astronom.

Powoli przywykłem i ja, i inni jego przyjaciele, do takiego stanu rzeczy. I nikogo nie dziwił fakt, że pan Błękitny punktualnie o 19-tej wychodził z naszego grona, ze stale powtarzającym się.

— Przepraszam was, ale w „Gwieździe” grają dziś „40 dni w ogrodach Allacha”. Formuła przeproszenia stale

Dla serc szlachetnych najwyższą rozkoszą
Gdy drugim radość w niedoli przynoszą.

Adam Asnyk

była ta sama. Zmieniała się tylko nazwa kina i tytuł filmu. Na nic byłyby próby wstrzymania go przed pójściem.

Jak więc już wspomniałem, nikogo to nie dziwiło, choćby miał nas opuścić w chwili najwyższego napięcia w bridge'u.

Dlatego też niezmiernie zdziwiliśmy, a prawie przestraszyliśmy się, gdy pewnego wieczoru, mimo godziny odejścia, pan Fidelis nie zdradzał zamiaru opuszczenia stolika bridge'owego.

Była to rzecz tak niespodziewana, jakby mi doniesiono, że w tej chwili na biegunie rosną palmy i skaczą antylopy, a na równiku murzyni, poubierani w futra, gonią nieźdźwidzie polarne w blasku zorzy północnej.

Dokończyliśmy jednak względnie opanowani partię, a potem otoczyliśmy pana Fidelisa Błękitnego.

Ten, ze łzą w oku, głosem przyciszonym, rozpoczął śpiewać swoją epopeję pełną przygód.

— Wczoraj byłem na filmie egzotycznym.

Tytuł wskutek mego nieszczęścia, uleciał mi z głowy, dość, że pełno w nim było zwierząt, murzynów pomalowanych na biało i zielono, węzów i t. p.

Obok mnie na krześle, siedziała jakaś pani z dzieckiem, mogącym mieć najwyżej 4 lata.

Bęhas siedział tak długo cicho, dopóki było na sali jasno. Z chwilą zgaśnięcia lamp, w ciszę sali wdarł się okrzyk — „Mama, ja się boję”!

Takiego wrażenia nie wywarł pewnie na Napoleonie nawet okrzyk pod Waterloo, że Prusacy są na tyłach.

Dzieciak skacząc do matki uderzył mnie butem w odcisk. (Do dzisiaj to czuję.) Musiał się przy tym jeszcze gdzieś uderzyć, bo rozbeczał się na całe kino. Matka zaczęła go uciszać, z początku szeptem, potem coraz głośniej.

Na mnie w międzyczasie zaczęły bić osiemdziesiąte dziewiąte poty.

Straciłem cały wstęp do filmu, ja, który lubię wiedzieć, jaka wytwórnia dany film nakręciła i jacy w nim grają aktorzy, a nawet, jakim systemem nagrano taśmę.

Na ekranie zaczęły się rozwijać barwne przygody w dżungli. Mój mały sąsiad, na moje nieszczęście, patrzył bardzo gorliwie, o czym świadczyły stałe zapytania do matki, wygłaszane z taką siłą, jakby pytający cały świat chciał wzywać do odpowiedzi.

Przytoczę kika takich zapytań, a zrozumiecie, że wyprowadziłyby one z równowagi nawet świętego.

- Mama, a czemu ten murzyn jest czarny?
- A dlaczego ten słoń tam leci?
- Czy ta małpa jest wypchana?

Zacząłem błagać Morfeusza, by zstąpił na tego dzieciaka i uspił go. Bębas jednak rzucał pytaniami w mroczną salę z siłą. Nie wiem tylko, czy Morfeusz zapomniał swej sztuki, czy też dzieciak poprzednio spał od 12 w nocy do 12 w południe i 12 w południe do 12 w nocy.

To wszystko niczym było w porównaniu z tym, co miało nastąpić. Czekałem na tę chwilę z drżeniem serca.

— Mama, ja chcę wyjść!

Gdzie i poco nie trzeba chyba dodawać.

Matka jego nie chcąc tracić filmu zbyła go powiedzeniem:

Cicho bądź, zaraz koniec.

Po chwili padają słowa:

— Mamo, ja już nie potrzebuję wyjść!...

Factum est...

Teraz już matka jego zmuszona była do wyjścia. Ponieważ udzieliła mu kilka kuksańców, małeć z bekiem a właściwie z rykiem wyszedł z kina trzymając się za spodnie. Prawie równocześnie zabłyśły lampy. Film skończył się.... Przynajmniej teraz, że po takiej lekcji, odechciało mi się częstego przesiadywania w kinie.

Teraz będę chodził na filmy wyłącznie do dorosłych. Może tam będzie spokój...

eM-Be.

Karambol kalamburów.

W ogóle młodzieży dedykuje — autor.

W ogóle młodzież jest jak morze; pełno w niej szumnych bałwanów i — w ogóle woda. Dużo zalewania. Droga przedyskutowań, przez inwencję indywidualnych specyficznych predyspozycji psychicznych, spekulatywno-ewolucyjną trasą, eliminując z siebie dolce far niente i konserwatywny subiektywizm, jako czy nnikwysocce destruktywny naszej przyjaźni, abstrahując od frazeologiomani i irracjonalnych momentów specyficznych w naszej psychozie, rozplątując laokoonowy splót przesłanek i namiastek — wypierwiastkowujemy z siebie esencjonalne kwintesensje, realizujemy je w ogóle w dążeniu

do szczytnych ideałów, aby entuzjastyczno-idealistyczno-spontaniczne namiętności idei przekeć w granity hartowne stalowych w ogóle czynów.. W ogóle szukamy głębokich wrażeń, robimy dobre wrażenia, — i klinem whijamy się w życie, zapatrzeni w jawiące się w błyskawicowej łunie świetliste promienie gloriowe tęczowe jutro, Nowa Epokę !!!

Jako spadkobiercy (bez spadku) naszych prapra-dziadów, owianych szumem husarskich w ogóle skrzydłisk, potralimy do ostatniego zipnięcia walczyć — tańczyć walca angielskiego lub wiedeńskiego.

W ogóle podstawą naszego światła patrzenia jest praca w murach szkolnych, a wobec wszelkich władz — lojalność. Szczególnie staramy się być jak najwięcej lujalni..

Przeżywamy Mirażę wraz z Mirami, Halucynację, bujamy w świecie Baś-ni, jesteśmy ten tego Iro-niczni, bal są między namy(i) Geni-usze, krochmalący się w Geniach.

Rekolecje u nas w Gimnazjum rzadko, ale rykolecje prawie każdego dnia, rykolecje o charakterze nawet filozoficznym.

W ogóle przekreślamy kryzys! Nie ma bezrohocia. Jeden zawód ciągle jeszcze wolny — zawód miłosny.

Ostatecznie, gdy wszystko i wszystkie zawiodą, można się w ogóle powiesić... komu na szyi, zawisnąć na usta-wy gimnazjalne nie stawiają w ogóle temu trudności.

Hipacy, mój przyszyły w ogóle kolega, zwany wielbłądem, z powodu błędomanii, rymarz-wierszorodka z przyrodzenia, w przystępie delirium popelnia nader liryczne wiersze, i taki Hipacy, apage satanas, jest a-teista, w ogóle nie pija herbaty. Ojciec jest mistrzem w dawaniu bur-burmistrzem, Wujek Hipacia jest rakarzem — od roku choruje na raka, Na raka nie ma rady, bo rad jest drogi. A w ogóle daleki pociotek Hipcia jest skończoną kanalia — czyścić kanały. Stryj jego jest docentem — do centa zgrywa się, w karcichu. Przedprzedeziadek Hipka był magnatem — szlachciurą z gnata-mi, personą nawet historyczną. Dlatego też Hip nie pójdzie po maturze ani na prawo ani na skos, tylko będzie „studentował” historię.. W ogóle histerykiem już jest.

Otóż ten w ogóle Hipek, orzeł fizyki, po dłuższych dociekiwaniach (uciekaniach z fizyki też) „skonstantował” że w każdym roku przestępczym, a raczej przestępnym, zboczenie [zwyrrodnienie) magnetyczne staje się większe..

W ogóle ten sympatyczny Hipaciej zwierzył mi się raz w miłośnie ciepły, jedyny w zapachu, przecicho-jedwabisty, romantyczno-księżycowomajowo-ostrowski wieczór, że nie ma nic nowego pod księżycem, bo gdy był jeszcze tycki, mama suszyła mu w ogóle pieluszki, a teraz, gdy już jest młodzianem tryskającym życiowym wigorem, teraz mamą suszy mu głowę w ogóle.

Hipek jest apostołem twórczości oryginalnej i niedawno wyraził się że PAL. powinien wbić Rzymowskiego na pal za..

Po trzech kwartałach anormalnego stanu wewnętrznego Hipciek spłodził impromptu erotyczne w dziewięciu częściach, pisane oktawami, 25 zgłoskowcem o rymach nijakich..

np.: Intermezzezo z 3 części:

Strach wokół, Strach
strach
ćwieków Grad!?
s.. ss ? — sza; Sza:

szach! i Mat!!
 wszę-dy Strach,
 wszę-dy Krrew...—
 s?... sa... trach!! go w łeb...?!!!

albo Rondo z finału:

Aż
 Raz
 W twarz
 Go praś,
 Dzwiami trzaśł
 Dziko wrzaśł,
 Pomknął w las...

lub najkrótszy wierzaz świata:

— Muł
 Wlazł
 W muł —

Czym wobec Hipka taki Słowacki, albo jakiś tam Mickiewicz, który dawno szedł na „Dziady”...

Nie jest Hipolit taki sławny jak kochaący wszystkie białogłowy Kie-pura, którego samo nazwisko krzyczy hurra! (Kiephurra) i przy którego wyso-kim tylko kiep nie krzyczałby hurra, albo gdy ten nasz sławny arianin śpiewa arie „Szumią halki na gór szczytynie...” — ale z tego Hipka a nuż, ó widelec...

Jednak na szlaku poezji trafił go szlag.

Biedny Hip (hip hurra!) „zarznął się...” i codziennie grał na pianinie swojej Halinie tak boską melodię, że jej bał się pies państwa Mamwasgdzie-siów...

Ergo Hipko kocha Halszkę kędzierzawą. Posłał jej tuzin fiołków w do-wód swcj aztraszliwej mi-nał dzień; — dostał kataru z tęsknoty; minął drugi — dostał „czwórę” z łaciny i dostał burę od ojca; w trzecim dniu do-stał spazmów, czwartego „zmieszania pomysłów,” a piątego dostał odpowiedź od Halszki.

Skleił momentalnie rozdarte serce, rozdarł kopertę i jął „ślabizować” słodkie kulfony Halszczyńskiego pisma:

Ten jest prawdziwie samotnym na ziemi
 Kto nawet współczuć nie umie z drugimi.

Adam Asnyk

— „Za fiołki dziękuję...”

Tu usmarkał się z okrutnej radości, ale czytał dalej.

— „Hipciu”

— Oh! Hipciem mnie nazwała, Hipciem, na uda Cyganiewicz! Ależ ona jest w ogóle...

Demoniczna!

I dalej:

— „Za fiołki dziękuję. Hipciu, ty jednak masz „fioła!”

!!

Rozdarł list serce, mundur, krawat, łypnął straszliwie białkami oczu rozwarł z hukiem okno — i wyskoczył ze skóry... trzaanał drzwiami i poszedł — po rozum do głowy — nie! poszedł do jadalni, zjadł obiad —; [w ogóle] zwiariował.

Józef Szczublewski

Nastrój makabryczny.

Czemu w biednej mojej duszy

Utajony strach?

Czemu w smutnych moich oczach

Blaski toną w łzach?

Czemu w głębi mojej piersi

Coś się szarpie wciąż?

Czemu w mózgu tuż pod czaszką

Kłębi się zły wąż?

„Ryslin”.

Na „szwancu”

(Historia ponura, jak życie)

Dokoik był to małeńki, o popękany suficie i brudnych ścianach. W kącie chwiał się melancholijne na trzech nogach piecyk żelazny, a po szklanym okna, z którego w dzień pogodny ujrzeć było można mury dachów i kominów, spływały teraz grube krople deszczu. Zardzerwiały, stary budzik

tykał monotennie, przy stole zaś, lepsze czasy pamiętającym, trzech młodzieńców różnęło w „karciecie”.

„Dziesiąta” — burknął głucho blondyn o wejrzeniu ponurym.

„Właśnie zaczynają pisać”.

„Powodzenia” — wesoło odparł brunet, ostrzyżony „na jeża” i zabił asem króla blondyna.

(Czytelnikom mającym jeszcze jakieś wątpliwości wyjaśniam, że ci trzej młodzieńcy „smyknęli” z polskiego zadania i zabijali teraz czas „na stacji” kolegi, któremu szczęśliwy los pozwolił mieszkać poza rodzicielskim domem).

„Pietrek” — zabrał głos dotychczas milczący gospodarz — „wyjrzyj no, czy Janek czasem nie idzie, bo słyhać kroki”.

Ponury blondyn powstał niechętnie ze swego miejsca i powoli wyszedł na korytarz. Po chwili wpadł jak bomba z powrotem.

„Ratuj się, kto może!!!” — krzyknął — „Stary idzie!!!” — i zniknął w czeluściach szafy a w ślad za nim wgramolił się tam też brunet z „jeżem”.

Gospodarz oniemiał, ale tylko na chwilę. Jak błyskawica mignął przez pokój kolnierzyk z krawatem i spoczął pod łóżkiem, a w ślad za nim poleciała para granatowych spodni i marynarka ze świeącymi guzikami. Gdy zaś u drzwi rozległo się energiczne pukanie, chrapliwy głos „proszę” wyleciał już z gardła, owiniętego starym ręcznikiem i otulonego szczelnie w pierzyne.

Na progu pokoju stanął gospodarz klasy. Po zimowym jego palcie spływała woda i tworzyła u stóp małe strumyki, z za okularów zaś patrzyły oczy przenikliwe i zdziwione, że jednak Filip Kopytko, uczeń VII. klasy leży w łóżku i może naprawdę jest chory.

„Słuchaj-no, mój drogi” — zaczął słodko „belfer” — „dla-czego nie przyszedłeś dziś do klasy?!”...

Chwilę panowała cisza, tylko budzik zgrzytał trybami i coś chrobotowało lekko w szafie.

Potem zaczął mówić Filip. Właściwie zaś nie mówił, tylko charczał, stękał i naśladował tak wyśmienicie człowieka od urodzenia chorego na grypę, że aż profesor cofnął się o krok od łóżka, żeby się nie zarazić.

„Panie psorze” — taka była mniej więcej treść przemówienia Filipa „Ja.. mnie aż serce bolało... że właśnie dzisiaj nie mogłem... gdy mieliśmy pisać polskie zadanie. Ja, panie psorze, przygotowałem się na to zadanie... ale dziś

naprawdę jestem tak chory... że naprawdę..." tu charkot biedaka przeszedł w lekki szloch, który zupełnie zagłuszył cichy śmiech w czeluściach szafy.

"Belfer" miał łzy w oczach.

"Wiesz Kopytko" mówił "Ja nie myślałem, że tyś taki obowiązkowy.

Ale co do tego zadania, nie martw się. Dzisiaj klasa go nie pisała, zostało odłożone na tydzień, a myślę... co to, coś ty tak zbladł?...

"Nic, tylko słabo mi, panie psorze. Proszę mi podać trochę wody, stoi ot tam, na stole".

Szklanka zimnego płynu przywróciła równowagę umysłu „choremu”, ale niemniej wiadomość była tak wstrząsająca, że oblicze Kopytki było sine, jak wosk i „belfer” zaczął się naprawdę obawiać.

"Słuchajno, mój drogi" — rozpoczął ulubionym zwrotem „a możeby ci przysłać doktora? Co, nie?... Mówisz, że ci lepiej, no to dobrze. Ale oszczędzaj się chłopcze, nie wychodź za wcześnie, lepiej jeszcze kilka dni bądź w domu, bo zdrowie, to skarb. No, bądź zdrów".

Trzasnęły drzwi i długo skrzypiały jeszcze schody. Poszedł. Kopytko powoli wstał z łóżka. Ze złością odrzucił w kąt pokoju ręcznik i stał z opuszczonymi rękoma, w kusej koszuli i przepisowych skarpetkach z nieprzepisowymi dziurami na piętach, jak posąg...

Henryk Szabowski, kl. Ic.

KĄCIK HARCERSKI.

Śłużba Bogu.

W poprzedniej gawędzie omówiłem kwestię służenia Ojczyźnie. Teraz zajmę się drugim punktem przyrzeczenia — służbą Bogu.

Wszak jednym z największych dóbr, jakie dawało, daje i chce dawać harcerstwo swym członkom, to niewątpliwie wiara. Poza świadomą propagandą religijności w gawędach, odczytach, harcerstwo dąży do ugruntowania wiary drogą pośrednią, sprzyjającą samorodnemu obudzeniu się jej. Harcerstwo wprowadza zasiedzialego mieszczucha do lasu, na pola, w góry i stawia go tam oko w oko z naturą, z przy-

rodą. Mimowoli każe nam dostrzegać wszędzie wszechpo-
tężną rękę Stwórcy. Każdy z nas, kto był na jakiegokolwiek
wycieczce, obozie, przypomina sobie napewno takie chwile.

Stawmy sobie przed oczy taki obraz:

Po trudnej, wielogodzinnej wspinaczce, stajemy wreszcie
zlani potem na szczycie góry. Tornister nielitościwie cięży,
oblicze jednak jaśnieje. Doszliśmy do celu. Rozglądamy się
naokoło. I wnet zapominamy o przybytych trudach. Hen
daleko na dole zielenią się lasy, z wysokości podobne do
trawek małych.

Pomiędzy zielenią wiję się strumień, pieniąc i perląc się,
skacząc po kamienistym łożysku. Na łagodnych zboczach
sąsiednich szczytów bieleje stado owiec. Dolatują nas
dźwięki dzwonek, uwieszonych na szyjach zwierząt i tęskliwe
głosy fujarek pasterzy.

Jaki strasznie mały wydaje się świat w obliczu tych
nagich, szarych skał. Stoją one ciche, milczące, jakby w roz-
pamiętywaniu dawnych dziejów.

Majestat gór udziela się i turyście.

Milknie, oblicze jego poważnieje. Przed oczyma duszy
zjawia się wizerunek Stwórcy, który stworzył te nagie, groźne
w swej martwocie skały. Jak małym jesteśmy prochem...

I długo nie można otrząsnąć się z tego nastroju.

Albo inna chwila. Każdy zna ogniska obozowe. Dru-
żyna obsiada płonący stos, płynie jedna pieśń za drugą.
Potem padają wzniosłe słowa gawędy. Nastrój ciepły ser-
deczny, bo jakby miał być inny, kiedy to wszystko dru-
howie, przyjaciele z jednej olbrzymiej rodziny, która zwie
się Harcerstwem.

Wreszcie ognisko kończy się. W chwilę później znu-
żone głowy skłonią się do snu.

Rozlega się poważna pieśń—modlitwa.

Cisza dookoła... Tylko rozżarzone drzewo trzaska w do-
rasającym ogniu. Padają słowa modlitwy...

Gwiazdy na granatowym niebie lśnią jasno.

Znieruchomiał w ciszy las stuletni...

Czy nie czujecie wtedy bliskości Ojca niebieskiego, do

Ty myślisz może, że wiek złoty
Bez walk, sam przyjdzie do ludzkości ?

Cyprian Norwid

którego stóp płynie ta modlitwa?

Za cel mej gawędy nie stawiam bynajmniej przekonywania o istnieniu Boga lub czegoś podobnego, pragnę napisać tylko parę słów o tym, jak należy nam harcerzom tę służbę wykonywać.

Najważniejszą postacią służby Bogu, jest spełnianie przykazań Bożych, spełnianie nakazów religii. Kto jest katolikiem, musi nim być w 100 procentach. Musi bez żadnych dowolności i wyjątków stosować się do nakazów ideologii katolickiej.

Drugą podstawą służby Bogu jest szerzyć naokół siebie religijność.

Musimy zdać sobie sprawę z tego, że życie religijne w obecnym stuleciu weszło w ponowny okres apostołstwa i prześladowań.

Wspomnijmy na Meksyk, Rosję i świeżo Hiszpanię i poniekąd Niemcy.

Przeciw religii prowadzona jest na całym świecie zacięta walka. W imię czego? Chyba nie indywidualizmu i wolności. Wystarczy podejść do pierwszego lepszego kiosku gazetowego, by znaleźć wydawnictwa żydowskie i półżydowskie, które w swej treści nie wiele różnią się od osławionego „Bezbożnika” moskiewskiego.

I dziś w Europie istnieje nawet wielu ludzi, którzy o religii katolickiej nie wiele, albo zgoła nic nie wiedzą.

My, harcerze - katolicy, nie możemy obok tych faktów przejść obojętnie. Sposobności, nawet w naszych ciasnych murach gimnazjalnych, nie zabraknie. Osądźcie w miejscu mądrą, dyskutującego o religii w sposób niegodny, lub wręcz wrogi naszym dogmatom.

Będziecie na wsi. Używajcie stale pozdrowienia „Niech będzie pochwalony” — pozdrowienia, które wychodzi z użycia, bo lud go się wstydzi.

Pokażcie, że nawet i w postępowym mieście nie zapomnieli tego.

W związku jednak z usiłowaniami propagandy, zwracam uwagę, by przy dyskusjach być cierpliwym i wyrozumiałym. W dyskusji z przeciwnikiem używając zbyt ostrych słów można go sobie zrazić.

Pozatem trzeba pamiętać, że tak jak w każdej propagandzie decydujące znaczenie ma tu przykład. Nie wzbu-

dzimy zaufania do hasel, których sami nie wcielamy w życie. Wreszcie mamy jeszcze trzeci obowiązek do spełnienia. Musimy dokładnie znać dogmaty naszej wiary. Zdarzyć się może, że w rozmowie z ateuszem, zabraknie nam argumentów. Gdy się religię chce krzewić, trzeba ją najpierw poznać.

Mając takie przekonania, musimy w nich wytrwać. Musimy mieć silny charakter, by tego dokonać. Dlatego też pracujemy nad sobą, nad wyrabianiem charakteru.

Spółczeństwo bowiem, złożone w większości z ludzi pozbawionych charakteru, nie umiejących życia nagiąć do siebie, ustępujących przed każdą trudnością, nawet przed najoczywistszym złem, nie mających zdecydowanych przekonań, lub nie umiejących konsekwentnie z tymi przekonaniami postępować, społeczeństwo takie jest materialem sypkim i niepewnym, jak piasek i trwała budowla państwowa oprzeć się na nim nie może.

eM-Be II. H. D.

Kącik krytyczny.

Kol. „Jot-Jot” — „Wspomnienia.” Artykuł bardzo „błady,” więc nie ma sensu umieszczać go w „Promieniu.”

Kol. „Taddy Eden” — „Happy end.” Teraz artykuł koledeze się nie udał — więc powędruje do kosza.

Redaktor Naczelny.

KRONIKA

Kapeluszowy lud.

Od paru dni w Ostrowie zdrożały kapelusze i laski (ale tylko te „masywniejsze”) Oto bowiem, po ośmioletnich bojach rozpuszczono i rozpędzono na

cztery wiatry 776 pułk kapeluszowego ludu. Zaznaczyć trzeba, że sztandar owego pułku otrzymał od Dyrekcji Honorową Odznakę Zielonego Kapelindra, w dowód uznania męstwa wykazanego w czasie minionych bojów, w których zdziesiątkowano ową formację. Poza tym, prawo noszenia cylindrów i lasek zdobyli:

Adamek Marian, Bartosik Aleksander, Daszkiewicz Stanisław, Domagała Marian, Gomółka Jan, Franciszek Grzesiek, Gutsche Stefan, Guziński Jan, Hądzel Franciszek, Jankowski Zdzisław, Jaroszewski Karol, Karliński Stanisław, Kędzierski Jan, Krupa Jan, Lis Franciszek, Michalik Daniel, Młynarczyk Tadeusz, Markiewicz Tadeusz, Polonis Borys, Sobczak Antoni, Stroński Władysław, Szymoniak Jan, Skiba Kazimierz, Wróbel Jan, oraz externista Jaskólski Bronisław.

Redakcja nasza temu „ludowi kapeluszowemu,” czyli maturzystom, życzy tego, czego oni sami najbardziej pragną.

Człowieka nie czyni matura, ani
dyplom, czyni go trud i ból...

M. Rodziewiczówna

TREŚĆ: 1. Garść wspomnień z wielkich dni. 2. Krótki zarys historyczny I. Batalionu Pogranicznego w Szczypiornie. 3. Fora z greką! 4. Co myślę o kłusce bezrobocia? 5. Szlak mickiewiszowski. 6. Burza. 7. „Chrzest.” 8. Plaża. 9. Ułóżmy kinoman. 10. Karambol kalamburów. 11. Nastroj makabryczny. 12. Na „szwancu.” 13. Kącik harcerski. 14. Kącik krytyczny 15. Kronika.

Czcionkami Drukarni Powszechnej J. Bąka i R. Górskiego
w Ostrowie Wilkp., ul. Kaliska 31 a.

(Nakładem T. T. Z-tu)

